Meksyk, Gwatemala, Honduras

Chichicastenango

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Mniej więcej w połowie stycznia 1994 leciałem z lotniska Tegel w Berlinie przez Londyn do **Meksyku**. W Londynie na lotnisku Heathrow czekał na mnie Roger. Rozmowa była dość krótka, bo godzinę później odlatywał mój samolot. Po dziesięciu godzinach lotu wylądowałem w stolicy Meksyku, gdzie czekali na mnie ojciec i brat

Roberta Orozco, Meksykanina, który ożenił się z moją byłą studentką, Danutą Pietruszką. Zamieszkałem w ich małym domku w **Ecatepec de Morelos,** w stanie Meksyk, bardzo daleko od centrum stolicy. Miasteczko zamieszkują ludzie ubodzy. Na ulicach fruwają ogromne ilości śmieci i nikt tego nigdy nie sprząta. Do centrum stolicy najpierw jechało się autobusem do ostatniej stacji metra, a potem metrem. Podróż trwała ponad godzinę i pamiętam, że na początku moi gospodarze nie chcieli mnie puścić samego i chyba pierwszy raz ktoś mi towarzyszył w tej podróży. Potem jednak zorientowali się, że radzę sobie nieźle i już jeździłem sam. Ale te podróże były dla mnie zawsze bardzo męczącymi wyprawami. Na ogół w metrze był niebywały tłok.

Państwo Orozco zwolnili dla mnie jeden pokoik. Pan Enrique i jego dwaj synowie spali na podłodze w kuchni. Cała rodzina była gościnna i serdeczna. Fakt, że przywiozłem dla nich od Roberta i Danuty sporo różnych prezentów, więc traktowali mnie jak swojego. W **Meksyku** musiałem czekać około tygodnia na wizę gwatemalską. **Miasto Meksyk** już znałem, ale chodziłem trochę po centrum, zaglądałem do kościołów i pałaców, a nawet zwiedziłem dokładnie pałac w Chapultepec. Pod koniec umówiłem się z moją znajomą sprzed siedemnastu lat, Velią, w restauracji magazynu Sanborns, w Domu pod Kafelkami (*Casa de los Azulejos*), przy ulicy Madero. Mój Boże! Jak to dziewczę się zmieniło po latach! Wyszła za mąż za jakiegoś Gruzina. Gdy jej powiedziałem, że wkrótce pojadę do miasta **Zacatecas** na północy, rzekła, że César López, przyjaciel Jorgego Herrero, Kubańczyk, którego dobrze znałem, uczy gry na fortepianie w szkole muzycznej właśnie w **Zacatecas**… Nie miała jednak jego adresu.

Zacatecas. Katedra.

Tymczasem stwierdziłem, że powietrze w stolicy **Meksyku** jest nie do zniesienia: było po prostu granatowe od spalin, nie do oddychania. W poszukiwaniu nieco lepszej atmosfery wybrałem się któregoś dnia do odległej od centrum dzielnicy **Coyoacán**. Było to kiedyś dalekie willowe przedmieście, gdzie nadal były ogrody wokół domów. Mieszkał tam **Trocki**, a także małżeństwo malarzy, **Diego Rivera i Frida Kahlo**. Niestety, teraz powietrze tam niemal równie zatrute, co w centrum. Jeden z braci Roberta polecił mi miasto **Pachuca**, 90 km od stolicy, stolicę stanu **Hidalgo** i dawny ośrodek wydobycia srebra i złota. Zachowały się kolonialne budynki Kas Królewskich (*Cajas Reales*), klasztoru Św. Franciszka z XVI oraz kaplicy Matki Boskiej Wniebowzięcia (*Capilla de la Asunción*), XVIII. Także dziewiętnastowieczny budynek Muzeum Górnictwa i słynny Monumentalny Zegar, a właściwie wieża zegarowa, symbol miasta, wybudowana w stulecie niepodległości w 1910. W drodze powrotnej na jakimś skrzyżowaniu dróg zakupiłem na straganie powszechnie tu noszony przez panów biały kapelusz z dość szerokim rondem.

Sprzedawca miał tylko kawałek odłupanego lustra i gdy się w nim przeglądałem, zawołał śmiejąc się: „Teraz nie oprze się panu żadna kobita!”

Na drogę do odległego o 622 km od stolicy **Zacatecas** pani Orozco dała mi wyborne kanapki z zieloną ostrą papryką. Jechałem autobusem całą noc i gdy o szarym świcie znalazłem się w mieście, zziębnięty poszedłem pieszo do centrum, wypiłem kawę i zacząłem szukać szkoły muzycznej. Miasto położone jest na wysokości 2.444 m i w nocy, a także nad ranem jest naprawdę zimno. Zresztą średnia temperatura wynosi tylko 12 stopni. Gdy znalazłem szkołę, okazało się, że tak rano nie ma tam nikogo. Portier przyszedł godzinę później i dał mi telefon dyrektora, a ten był uprzejmy dać mi telefon Césara Lópeza. Z kawiarni zatelefonowałem do niego i oto czego się dowiaduję: Jorge Herrero też tam jest! Najpierw nie zrozumiałem i mówię: „Tak, jestem przyjacielem Jorgego”, na co César powtarza: “Ale Jorge też tu jest”. Tak czy owak umówiliśmy się w tej kawiarni i za półtorej godziny przyszli obaj i Jorge do mnie po polsku: „Dzień dobry! A co pan tu robi?” Radość była ogromna. Wieczorem byłem u niego na kolacji w jego malusieńkim mieszkanku, a nazajutrz pojechaliśmy razem do **Guadalupe** zwiedzić tamtejszy klasztor i pinakotekę.

Po odjeździe Jorgego i Césara zacząłem oglądać to pełne zabytków kolonialnych miasto. Konkwistadorzy hiszpańscy szybko odkryli tam ogromne pokłady srebra i miasto stało się jednym z największych ośrodków wydobywczych tego metalu. Bardzo szybko się wzbogaciło i stąd taka rozmaitość kolonialnych zabytków. Przede wszystkim niezwykła, wielka katedra z XVIII w stylu *churrigueresco*, z różowego kamienia, o dwóch wysokich wieżach i wspaniałej, niezwykle bogato zdobionej fasadzie, z posągami apostołów w niszach. Dalej, kościół Św. Dominika o ciekawych barokowych ołtarzach. Częściowo w ruinie kościół Św. Franciszka z XVI i na wzgórzu la Bufa, świątynia Patronki Zacatecas z XVIII, *Nuestra Señora del Patrocinio*. Wszystkie kościoły są z pięknego różowego kamienia, tak samo Kolegium Apostolskie i świątynia Matki Boskiej Guadalupe, XVIII. W Kolegium jedna z największych pinakotek wicekrólewskich w Meksyku, w tym obrazy Miguela Cabrery (1695 – 1768), między innymi „Hołd Zakonu Franciszkanów dla Matki Boskiej Guadalupe”. Przy Placu Broni kolonialny pałac z XVIII, dawniej siedziba jednego z najbogatszych rodów w mieście, a od 1831 mieści się tam zarząd stanu **Zacatecas**.

Po powrocie do stolicy odebrałem wizę gwatemalską i odleciałem do **Gwatemali**.

Gdy znalazłem się na tamtejszym lotnisku miałem dylemat: czy telefonować do konsula honorowego Polski, pana Adama Prauna-Tarnawskiego, czy do polskiego księdza. Oba telefony dostałem w Ambasadzie Meksyku w Warszawie od pewnego Gwatemalczyka, znajomego Elżbietki Tregerówny. Nie wiem, co mnie oświeciło, ale zatelefonowałem do pana Adama. Poprosił, abym zatelefonował ponownie za piętnaście minut. Gdy to zrobiłem, dowiedziałem się, że zaraz po mnie przyjedzie. Zawiózł mnie do siebie i zamieszkałem tam w pięknej, otoczonej ogrodem willi „Danuta" (tak ma na imię jego żona). Przez cały pobyt służył mi pomocą nie tylko on, ale też jedna z jego córek, zaangażowana przez ojca do współpracy podczas mojego pobytu.

Antigua. Ruina kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel.

Zaraz po przyjeździe nawiązaliśmy kontakt z Instytutem Kultury Hispanistycznej i z Uniwersytetem im. Francisca Marroquína, aby ustalić daty moich wykładów. Trochę poznałem, głównie z samochodu, stolicę: Narodowy Pałac Kultury, katedrę i wyjechałem z kierowcą pana Adama, młodym Indianinem *Cakchiquelem*, najpierw do **Antigua**, dawnej stolicy **Gwatemali**, zniszczonej głównie przez trzęsienie ziemi w 1773. Znajduje się około 40 km na zachód od obecnej. Zachowały się wspaniałe ruiny klasztoru Kapucynek, kościoła Św. Franciszka (brak wieży z prawej strony), kościoła i klasztoru Matki Boskiej Łaskawej, kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel (*Carmen*)… Stoją zachowane w całości kościół Szkoły Chrystusa z XVII, katedra Św. Józefa z XVII (częściowo w ruinie), Pałac Kapitanów Generalnych i wiele innych wspaniałych budowli z okresu kolonialnego, w tym jeden z najstarszych uniwersytetów w Ameryce, *Universidad de San Carlos*, 1676, z arkadowym dziedzińcem o masywnych filarach. Przed zniszczeniem to miasto rywalizowało z najwspanialszymi ośrodkami architektury w Nowym Świecie: **Meksykiem, Limą, Pueblą, Quito i Potosí**, a i w tej chwili spacer po mieście jest ogromną przyjemnością, bo oprócz malowniczych ruin jest tam nadal wiele pięknych budowli, które uniknęły zniszczeń. **Antigua** leży u stóp potężnego **wulkanu Agua**, 3760 m. W mieście wiele straganów i miejsc, gdzie Indianki sprzedają niezwykle kolorowe bluzki, koszule, torby, wszystko w kolorach tęczy.

Antigua. Pałac Kapitanów Generalnych.

Antigua. Kościół Matki Boskiej Łaskawej.

Antigua. Klasztor Kapucynek.

Nocowaliśmy w rodzinnej wsi kierowcy, w jego domu. Było to malownicze. Cała rodzina uśmiechała się do mnie miło, ale zdaje się ich hiszpański był na poziomie dość elementarnym, jeśli nie zerowym. Miałem wrażenie, że nie rozumieją mnie, gdy opowiadałem im o Polsce. Rano golenie pod jedynym kranem na podwórku, z lusterkiem opartym na jakimś drzewie. Kolejnym miejscem, dokąd się udaliśmy, było **Chichicastenango**, miasto znane z indiańskich targów i synkretycznych wierzeń jego mieszkańców, Indian *Quiché*. Centralnym punktem jest kościół Św. Tomasza, XVI, ze stromymi schodami przed wejściem. Na tych schodach Indianie palą sporządzone z żywicy drzewa *Bursera graveolens* czarne kulki zwane *pom*. W kłębach aromatycznego dymu wznoszą modły do swoich bogów. Także wewnątrz kościoła modlą się po swojemu, ale już do katolickich świętych ubranych po indiańsku. Widziałem kobietę, która „wlewała” w usta świętego jakiś przezroczysty płyn. Powiedziała mi, że modli się w ten sposób, aby jej mąż przestał pić. Byliśmy też w jakimś lasku, gdzie nad brzegiem strumyka stały kamienne rzeźby świętych indiańskich i zapalone przed nimi świece. Na jednym ze wzgórz (*Cerro Turcaj*) jest kamienna głowa Boga Świata (*Pascual Abaj*), czczonego przez miejscowych Indian.

W klasztorze Św. Tomasza mnich Francisco Ximénez odnalazł spisaną w połowie XVI świętą księgę Majów Quiché *Popol-Vuh* i przetłumaczył ją na hiszpański pod koniec XVIII. Na targu kupiłem piękną torbę w kolorach tęczy i gwatemalską koszulę.

Jezioro Atitlán

Na noc pojechaliśmy do **Panajachel** nad **jeziorem Atitlán**, gdzie przenocowaliśmy w hotelu. **Panajachel** wydało mi się nieciekawym, hałaśliwym miejscem, z tłumem turystów z całego świata. Nazajutrz popłynęliśmy małym stateczkiem do **Santiago de Atitlán**. Po drodze widoki na trzy **wulkany: Atitlán, Tolimán i San Pedro**. Wszystkie mają ponad 3 tysiące metrów wysokości. Najlepiej widoczny jest **San Pedro**. Atrakcją wioski **Santiago de Atitlán** są jej mieszkańcy, kolorowo ubrani Indianie. Kobiety mają długie ciemnoczerwone lub czarne spódnice, haftowane bluzki i na głowie rodzaj kapelusza utworzonego z szerokiej czerwonej wstążki oplecionej wielokrotnie wokół głowy. Mężczyźni, spodnie całkiem krótkie, albo do pół łydki, w delikatne podłużne paski czarne lub czerwone, albo w paski na czerwonym

tle. Mieliśmy okazję zobaczyć wewnątrz jednego z domów ich ulubionego świętego, Maximona: drewniana brązowa twarz, brązowy kapelusz, a zamiast koszuli, mnóstwo kolorowych chustek. Przed nim rodzaj ołtarzyka z tacą na pieniądze. Ludzie przychodzą, obłapiają go tuląc się do niego i coś do niego szepcząc. Krajobraz wokół jeziora nie jest zbyt atrakcyjny. Brak mi było roślinności, chociaż podobno stoki wulkanów są nią porośnięte.

Indianie w Santiago Atitlán.

Stamtąd udaliśmy się do małej miejscowości (prawdopodobnie była to ukryta w górach wioska **Concepción de Paquixalá**), gdzie był cudowny kościół kolonialny. Pamiętam, że droga była trudna, bez twardej nawierzchni i pełna wybojów. Po drodze zabraliśmy Indiankę w kolorowym stroju, z dzieckiem. Gdy chciałem zrobić sobie z nią zdjęcie, zażądała zapłaty. Kościół był olśniewająco piękny. Potem zjeżdżaliśmy w dół, w stronę wybrzeża Pacyfiku. Ten zjazd trwał długo, gdyż płaskowyż jest położony bardzo wysoko, ponad 1500 m. Stopniowo zmieniała się roślinność: inne, rozłożyste i kwitnące drzewa, zielone łąki, kolorowe ptaki, zupełnie

inny zapach. Nie mogłem oderwać oczu od zmieniającego się krajobrazu. Dojechaliśmy do małej miejscowości, gdzieś koło **San José** i zanocowaliśmy u bardzo miłych i gościnnych polskich księży. Nazajutrz byliśmy na plaży nad Pacyfikiem, ale olbrzymia fala załamywała się jakieś 10 metrów od plaży. Wypłynięcie poza nią wydawało się ryzykowne i niebezpieczne. Pluskaliśmy się więc w płyciutkiej wodzie przy czarnej plaży, której piasek boleśnie parzył stopy, tak bardzo był nagrzany. Był to mój drugi, tym razem bardziej bezpośredni kontakt z Pacyfikiem. Pierwszy miał miejsce w 1973 podczas pobytu w **peruwiańskim Pachacámac**.

W stolicy **Gwatemali**, w Instytucie Kultury Hispanistycznej, wygłosiłem wykład o hiszpańszczyźnie argentyńskiej. Nie dostałem pół grosza, ale miałem satysfakcję, bo przyszedł tłum. Zaszczycił mnie swą obecnością sekretarz ambasady argentyńskiej. Do **Tikal** poleciałem samolotem na dwa dni. Nocowałem w tamtejszym hotelu. Zobaczyłem najważniejsze miejsca i nawet znalazłem czas, by pospacerować po dżungli.

Quiriguá. Stela z hieroglifami, fot.

Manuel Romaris.

Główny Plac w **Tikal** i otaczające go piramidy, zwane świątyniami Wielkiego Jaguara i Masek oraz Północnym Akropolem, robią ogromne wrażenie. Na piramidę Masek wbiegłem po wąziutkich i stromych schodkach i na szczycie długo odpoczywałem, bo rozbolały mnie bardzo nogi od tego biegu. **Tikal** był stolicą **Starego Imperium Majów** (200 – 800) i jednym z największych jego miast. Imperium zakończyło definitywnie swą egzystencję w X wieku. Właściwie odsłonięto tylko sześć piramid plus zespoły zwane Północnym i Środkowym Akropolem. Reszta nadal jest porośnięta dżunglą. Piramida nr IV nosi nazwę Dwugłowego Węża i jest najwyższa, 65 m. Żelazna drabina, po której na nią wchodziłem, niebezpiecznie się poruszała, ale jakoś wszedłem. Widok ze szczytu wynagrodził mi trudy wchodzenia: jak okiem sięgnąć wszędzie zielone morze dżungli i tylko wystają z niego białe grzebienie świątyń na szczytach piramid. Nad głową przelatują stada zielonych papug i tukanów, słychać śpiewy ciemnobrązowych kacyków montezumy (*Gymnostinops montezuma*). I cisza. I człowiek czuje się władcą tej dżungli. Tu i ówdzie na Głównym Placu fragmenty ołtarzy, stele. Wszystko, co najważniejsze zgromadzono w muzeum. Podczas spaceru po suchej dżungli udało mi się zobaczyć wysoko na drzewie małpę zwaną czepiakiem brązowym (*Ateles fusciceps*).

Po powrocie do stolicy kolejny wykład, tym razem o kulturze polskiej, na Uniwersytecie im. Francisco Marroquína. I znowu gratis. Ale wśród słuchaczy przemiła pani profesor z Kuby.

Kolejna podróż była długa. Pojechałem najpierw do **Chiquimula**, do księży polskich. Był wśród nich ten, którego telefon – pewno nieaktualny – miałem zapisany. Atmosfera była mniej sympatyczna, niż u tych nad Pacyfikiem. Przenocowałem i nazajutrz bardzo wcześnie podwieziono mnie na dworzec autobusowy, skąd ruszał autobus w kierunku **granicy honduraskiej**. Gdy wsiadłem, w autobusie siedziała liczna grupa młodych chłopców z maczetami. Jechali do pracy na plantacji kawy. Zwróciłem uwagę, że miejsca dla pasażerów były niezwykle wąskie i prawie wszystkie były już zajęte, gdy właśnie weszła do autobusu pokaźnych rozmiarów młoda jejmość i zawołała głośno z nieukrywanym i szczerym żalem: „Ale ja się tu nie zmieszczę, bo ja mam wielką dupę!” Bardzo mnie to rozbawiło i wybuchnąłem śmiechem. Dość podłą drogą wspinaliśmy się coraz wyżej. Po drodze wysiedli

chłopcy z maczetami. Zaczęły się otwierać widoki po lewej stronie wzgórza. Wreszcie dolinka i graniczny punkt kontrolny. Wizę honduraską i powrotną gwatemalską załatwił mi nieoceniony pan Adam. Po przekroczeniu granicy jąłem wspinać się pod górę, ale wkrótce zatrzymałem jakiś samochód i dotarłem do odległego o jakieś 10 km stamtąd **Copán**. Było już późno, więc poszedłem do hoteliku.

Nazajutrz pokonałem jeden kilometr dzielący miasteczko od ruin i zostałem tam prawie cały dzień. **Copán** jest drugim po **Tikalu** największym miastem Majów okresu klasycznego (V – IX wiek). Opuszczono je definitywnie po roku 900. Ze względu na obserwatorium astronomiczne i dokonania matematyczne, a także walory estetyczne licznych steli zyskało sobie miano **„Aten Ameryki”**. To, co teraz wyraźnie tam widać, to w pierwszym rzędzie duży plac w północnej części, gdzie stoją niesłychanie barokowe stele (około 20), przedstawiające władców w strojach ceremonialnych. Są one pokryte z jednej strony hieroglifami. Tu i ówdzie widać między stelami poziome, niskie ołtarze z płaskorzeźbami dostojników. Na całym obszarze porośniętym suchym lasem tropikalnym jest pokaźna ilość pozbawionych świątyń stosunkowo niskich piramid, z których najważniejszą jest piramida ze Schodami Hieroglifów, osłoniętymi specjalną tkaniną. Schody te mają 63 stopnie pokryte gęsto hieroglifami. Przed schodami kamienna stela, pośrodku schodów stoi także kilka steli i nie wiadomo, czy zawsze tam stały, czy też ustawiono je później. Znakomicie zachowało się boisko do rytualnej gry w pelotę. Mnie najbardziej urzekły duże stele z wizerunkami władców. Każdy z nich ma bardzo dekoracyjne nakrycie głowy, rodzaj pióropusza, czy jakiejś wysokiej tiary. W miasteczku obejrzałem jeszcze interesujące muzeum ze zbiorami pochodzącymi z ruin i wróciłem do **Chiquimula.**

Tikal.

Copán. Boisko do gry w pelotę.

Następnego dnia postanowiłem pojechać do **Esquipulas**, znanego w całej Ameryce Środkowej centrum pielgrzymkowego. Miasto leży w tym samym departamencie **Chiquimula**, w pobliżu granicy z **Hondurasem** i **El Salvadorem** i słynie z wielbionego przez wiernych Czarnego Chrystusa, rzeźby wykonanej w 1594 i umieszczonej w barokowej bazylice z roku 1758. Bazylika jest dostojną białą budowlą usytuowaną na niewielkim wzgórzu, o dwóch symetrycznych wieżach wysokości 50 m każda po obu stronach głównego wejścia. Była wypełniona tłumem pielgrzymów. Rzeźba przedstawia ukrzyżowanego Chrystusa oraz Matkę Boską, Św. Magdalenę i Św. Józefa stojących przy mocno złoconym Krzyżu.

Quiriguá. Wysoka stela.

Nazajutrz, bardzo wcześnie rano, po ciemku, wyjeżdżam z tym księdzem, którego telefon miałem zapisany, w długą drogę, której pierwszym etapem jest odległa o 50 km od **Copán Quiriguá**, nieco mniej ważne **miasto Majów**, słynące z najwyższych steli. Kwitło w tym samym okresie, co **Tikal** i **Copán**, czyli od 200 do 900. Rządzący nim w VIII wieku władca Cauac Niebo pokonał w roku 738 władcę Copán i odtąd **Quiriguá** opanowała szlak handlowy wiodący wzdłuż **rzeki Motagua**. Wizerunek zwycięzcy został uwieczniony na siedmiu z dziewięciu stel monumentalnych, w tym na tej najwyższej, mierzącej 11 metrów wysokości, gdzie Cauac Niebo występuje w bardzo wysokim i wymyślnie ozdobnym nakryciu głowy trzymając berło w ręku. Na terenie miasta znajdują się 33 ołtarze, kilka monolitów zoomorficznych, akropol złożony z pałaców ozdobionych sztukaterią i boisko do gry w pelotę. Największe wrażenie robią wysokie bardzo, smukłe wręcz stele, bardzo bogato ozdobione i w większości osłonięte daszkami z liści palmowych. W odróżnieniu od **Copán, Quiriguá** leży pośród wilgotnego tropikalnego lasu, a jej stele i inne budowle znajdują się na porośniętych świeżą trawą polanach. Byliśmy tam rano. Już świeciło piękne słońce, a na niskiej gałęzi jednego z drzew siedział sobie spokojnie niebiesko – zielony *tolobojo grande* (*Eumomota superciliosa*), z długim ogonem

zakończonym dwiema czarnymi rakietkami.

Zamek św. Filipa.

W programie było jeszcze obejrzenie Zamku Świętego Filipa (*Castillo de San Felipe*, XVII), fortecy nad jeziorem Izabal, której zadaniem było odpieranie ataków piratów, głównie angielskich. Łączność **Gwatemali** z Hiszpanią odbywała się w czasach kolonialnych właśnie przez **jezioro Izabal** i **Słodką Rzekę** (*Río Dulce*), która z niego wypywa i wpada do **Morza Karaibskiego**. Forteca otoczona jest palmami kokosowymi, a na jej tarasach stoją armaty pamiętające dawną epokę kolonialną. Mury są odpowiedniej grubości. Forteca ma skomplikowany system korytarzy i zakamarków tworzących istny labirynt. Na brzegach **jeziora Izabal** gęsta puszcza tropikalna. Było już wtedy bardzo gorąco i poprosiłem księdza, aby zechciał na mnie zaczekać, a sam wykąpałem się w jeziorze. Ksiądz musiał już wracać do **Chiquimuli**, a ja postanowiłem wysiąść na skrzyżowaniu i dojechać do **Puerto Barrios**, nad **Morzem Karaibskim**. Zależało mi bardzo na poznaniu **Słodkiej Rzeki**. W

nieciekawym mieście znalazłem hotelik i zostałem w nim dwie noce.

Słodka Rzeka.

Nazajutrz rano popłynąłem zatłoczonym stateczkiem do miasteczka **Livingston** zamieszkanego przez napływową ludność pochodzenia afrykańskiego, mówiącą specyficznym językiem *garífuna*. Jest to mieszanka afrykańsko – angielska, jako że ludzie ci pochodzą z anglojęzycznych wysp na **Morzu Karaibskim**. W **Livingston** wynająłem za 30 dolarów łódź motorową, którą przez dwie godziny miałem zwiedzać brzegi **Słodkiej Rzeki**. Była to bardzo atrakcyjna wycieczka. Dwóch tubylców obsługiwało tę łódź, a ja podziwiałem krajobrazy. Najpierw wąski, skalisty kanion rzeki. Białe, pionowe skały, na dole porośnięte dżunglą, stada białych czapli i postój przy gorących źródłach, gdzie popływałem trochę. Dalej, rzeka tworzy szeroką zatokę zwaną *El Golfete* i kolejny postój przy autentycznej dżungli, którą się zwiedza. Miejsce nazywa się *Biotopo Chocón – Machacas.* Chodzi się wytyczoną przez dżunglę

ścieżką, przy której napisy informujące o ciekawych obiektach. I tak, tu ogromny błękitny motyl *morpho*, dalej wielkie mrówki *zompopo* (*Myrmicinae*) maszerują wygryzioną w trawie ścieżynką przenosząc liście, ówdzie ogromne, proste pnie drzew tropikalnych (między innymi *palo de agua*, czyli *Vochysia hondurensis*) i cały czas odgłosy owadów i ptaków. Przy wyjściu czeka na mnie tresowana małpa skacząca po mostku.

Tolobojo grande

Po powrocie do **Livingston**, długi marsz wzdłuż wybrzeża **Morza Karaibskiego** aż do **wodospadów** zwanych **Siedem Ołtarzy** (*Siete Altares*). Po drodze dochodzą mnie dźwięki muzyki kubańskiej. Śpiewa Benny Moré. Jakże inna tu kultura, inne zwyczaje i upodobania w porównaniu z indiańskim płaskowyżem! Przedzierałem się pokonując różne przeszkody po drodze. W pewnym miejscu jakiś chłopiec przewiózł mnie na chybotliwym mocno czółnie przez głęboką rzeczkę uchodzącą do **Morza Karaibskiego.** Z powodu suszy wodospady nie funkcjonowały. Woda stała jedynie w skalnych zagłębieniach, więc widok mało atrakcyjny. Ledwie zdążyłem na ostatni

statek do **Puerto Barrios**. Tymczasem morze się rozszalało. Wysoka fala zalewała pokład, a dwoje jedynych pasażerów – jedna kobieta i ja – byliśmy osłonięci wielką przezroczystą folią, dzięki której dopłynęliśmy nie tak zmoczeni. Kobieta wychodząc na ląd przysięgała, że nigdy więcej nie wsiądzie na statek przy takim stanie morza. Nazajutrz autobus do stolicy odjeżdżał kiedy było jeszcze zupełnie ciemno. Gdy przyszedłem na dworzec autobusowy właśnie odbywała się rewizja pasażerów płci męskiej. Stali przy autobusie, a policjanci obszukiwali ich kieszenie w poszukiwaniu broni, przesuwając rękoma po spodniach. Zawołałem z daleka: „A cóż to za poranne pieszczoty!", co wywołało śmiech. Taka kontrola powtórzyła się jeszcze w jakimś odludnym miejscu na trasie. Nie należy zapominać, że partyzantka antyrządowa działała jeszcze dość aktywnie na terenie **Gwatemali**. Pana Adama na dworcu w stolicy nie było. Zdenerwowany zatelefonowałem do niego i przyjechał z wielkim opóźnieniem.

Wkrótce nastąpił mój powrót. Pan Adam odwiózł mnie na lotnisko i zapewniał, że z przyjemnością przyjmie w przyszłości inne osoby z Polski, które mu polecę. Niestety, kontakt z panem Adamem urwał się wkrótce, mimo wysyłanych przeze mnie listów i faksów. W **Meksyku** tym razem nocowałem u wuja Roberta, ale przedtem jego rodzice dali mi do przewiezienia wielką walizę pełną różności dla Roberta i Danuty. Sam nie wiem w tej chwili, jakim cudem udało mi się ją przywieźć do Wrocławia. Wuj Roberta postanowił upoić mnie tequilą, którą serwował do późnych godzin nocnych. Po kilku godzinach snu, z niesamowitym bólem głowy, odleciałem do Londynu. Na lotnisku Heathrow czekała Teresa Korzeniowska. W Berlinie wziąłem na lotnisku taksówkę, by dojechać na dworzec kolejowy. Pamiętam, że zapłaciłem za nią 30 dolarów, czyli tyle, ile za wycieczkę w górę Słodkiej Rzeki…

Zygmunt Wojski. „Od Łupi do Parany i Amazonki", s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją Culture Avenue.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-iii/

http://www.cultureave.com/argentyna-i-paragwaj/

http://www.cultureave.com/brazylia-argentyna-urugwaj/

Galeria

Antigua. Wzgórze Krzyża nad miastem.

Antigua. Uniwersytet św. Karola.

Antigua. Pałac Kapitanów Generalnych.

Esquipulas.

Concepción Sololá, fot. Roberto Scriboni.

Oropéndola, czyli kacyk montezumy, fot. BirdPhotos.com.